

TRZY SPOTKANIA

□

Jest druga połowa grudnia 1932 roku

Jak co roku, hr. Janusz Czarnecki z Golejewka, organizuje przedświąteczne, polne polowanie na zające i bażanty.

Łowczy hrabiego ustalił warunki przyjęcia kandydatów na naganiaczy: ukończony szesnasty rok życia, schludny wygląd i dobra sprawność fizyczna.

Ja, mimo że miałem dopiero trzynaście lat, byłem ponad swój wiek rozwiniętym fizycznie chłopcem i ku mojej radości zostałem przyjęty w poczet naganiaczy. Wynagrodzenie dzienne naganiacza wynosiło 1,00 złoty polski. Była to stawka znacząca zważywszy, że robotnik sezonowy przy ciężkich pracach, przygotowywania gleby pod uprawy leśne otrzymywał tylko 0,80 groszy polskich, za ośmiogodzinny dzień pracy.

Początek polowania wyznaczono na godzinę ósmą, natomiast naganiacze mieli stawić się na godzinę siódmą. Tuż po godzinie siódmej, dwudziestu czterech naganiaczy zgłosiło się w komplecie. Na miejscu zbiórki czekały już furmanki przeznaczone do przewozu naganiaczy i transportu upolowanej zwierzyny. Dla naganiaczy wyznaczono dwa duże wozy skrzyniowe (bez siedzeń), a do transportu zwierzyny przygotowano cztery wozy drabiniaste. Każdy furman wozu drabiniastego posiadał odpowiednią ilość kartek z numerkami, które wydawał naganiaczowi

jako potwierdzenie przyjęcia na karawan zwierzyny. Dla każdego gatunku zwierzyny były inne – różniące się kolorem kartki. Po każdym miocie, potwierdzenia otrzymane od furmana, naganiacz przekazywał pomocnikowi myśliwego, względnie samemu myśliwemu. Na podstawie tych kartek, po skończonym polowaniu, Łowczy ustalał ilość upolowanej zwierzyny przez poszczególnych myśliwych a myśliwego, który uzyskał najlepszy wynik, Gospodarz polowania, czyli sam hrabia J. Czarnecki, z wielkim ceremoniałem, ogłaszał „KRÓLEM POLOWANIA”.

Wielu myśliwych posiadało swoich pomocników, których zadaniem było noszenie amunicji i ładowanie strzelb. W tym czasie, myśliwi często strzelali na zmianę z dwóch strzelb. Tego dnia, do opolowania przeznaczono pola położone pomiędzy wsiami Golejewko i Pakosław. Dobrze zagospodarowane, obfitowały w zwierzynę drobną. Liczne remizy stanowiły skuteczne schronienie dla zwierzyny drobnej, przed nielicznymi wówczas drapieżnikami.

W noc przed polowaniem nie mogłem zasnąć. Było to dla mnie ogromne przeżycie, gdyż pierwszy raz miałem uczestniczyć w prawdziwym polowaniu. Łowiectwo pasjonowało mnie od dzieciństwa, bowiem pochodzę z rodziny o wieloletnich tradycjach myśliwskich.

Wstałem o godzinie wpół do szóstej rano – do miejsca zbiórki miałem sześć kilometrów. Pogoda była piękna, lekki przymrozek i cienka warstwa śniegu.

Na miejscu zbiórki przeszkoleni zostaliśmy jak należy zachowywać się w czasie polowania oraz jakie mamy obowiązki w zakresie dostarczania upolowanej zwierzyny do wozów.

Staliśmy obok ogrodzenia oddzielającego część gospodarczą od pałacowej. Miałem więc doskonałą możliwość obserwowania przybywających na polowanie myśliwych. Co chwilę zajeżdżały piękne, lśniące limuzyny, a Gospodarze witali wytwornych gości przy wejściu do pałacu. Wśród samochodów znalazł się również piękny powóz – czarny kabriolet – zaprzęgnięty w dwa kare ogiery – stangret w liberii. Powóz ten w sposób szczególny wyróżniał się na tle samochodów i wzbudził moje wielkie zainteresowanie. Wysiadło z niego troje młodych uczestników polowania. Były to dwie piękne Panie[1], ubrane na sportowo, szatynki oraz przystojny i roześmiany mężczyzna, który kończył właśnie jakieś żartobliwe historie, które towarzyszące Panie skwitowały gromkim śmiechem.

Po śniadaniu myśliwi i towarzyszące im osoby, w radosnych nastrojach, wsiedli do czterech

dużych powozów i cała kawalkada ruszyła w teren. Na przedzie myśliwi, potem naganiacze, a na końcu wozy drabiniaste.

Zazdrosnym okiem patrzyłem na myśliwych i marzyłem o tym, żeby doczekać chwili kiedy sam będę mógł polować.

Polowania u hrabiego J. Czarneckiego znane były z wzorowej organizacji, a łowiska z dobrego stanu zwierzyny.

Z gości uczestniczących w polowaniu pozostał mi w pamięci obraz Generała Fabrycego, bliskiego współpracownika Marszałka Piłsudskiego oraz bohatera tego wspomnienia Pana Janusza G.[2], do którego przydzielony zostałem jako naganiacz. Polowano w „kotły”, a myśliwi i naganiacze rozdzieleni zostali na dwie grupy. Grupy te obstawiały przeznaczony do opolowania teren z dwóch stron jednocześnie, a to dla sprawniejszego zamknięcia obwodu „kotła”.

W polowaniu brało udział 12 myśliwych. Wynik polowania to ponad 600 szt. zajęcy, ok. 200 bażantów i 4 lisy.

Do domu wracałem zmęczony i głodny, ale bardzo szczęśliwy, gdyż uczestnictwo w tym polowaniu było dla mnie wielkim przeżyciem. Niezależnie od doznanych emocji, zarobiłem tego dnia trzy złote polskie (łącznie z „napiwkami” od mojego myśliwego).

Były to pierwsze zarobione przeze mnie pieniądze w życiu.

Po osiemnastu latach

1 lipca 1950 roku zostałem mianowany nadleśniczym jednego z opolskich nadleśnictw i znalazłem się w zupełnie nowym środowisku. Po dwóch tygodniach mojego urzędowania odbyła się w rejonie lasów państwowych, comiesięczna narada nadleśniczych, na której omawiane były sprawy realizacji planów gospodarczych. Dyrektor Rejonu[3] J. Modzelewski przedstawił mnie uczestnikom narady.

W czasie trwającej kilka godzin narady, poznawałem nowych kolegów. Jeden z nich wydał mi się znajomy, toteż po obradach podszedłem do Niego:

- Odnoszę wrażenie, że się znamy od dawna? – zagadnąłem pytająco.

- Nie przypominam sobie, abyśmy się kiedykolwiek spotkali Panie Kolego! – odpowiedział raczej oschle.

Charakterystyczny tembr Jego głosu upewnił mnie jednak, że intuicja mnie nie myli. Rozmowę ciągnąłem więc dalej:

- Czy znał Kolega może hr. J. Czarneckiego z Golejewka?

Moje pytanie zaintrygowało Go.

- A jakże, znałem bardzo dobrze. Nasze posiadłości ziemskie graniczyły ze sobą – odpowiedział.

Opowiedziałem wówczas o polowaniu u hr. J. Czarneckiego w grudniu 1932 roku, kiedy to byłem jego naganiaczem. Historia ta zrobiła wyraźne wrażenia i na moment zamilkł, w końcu

wzruszonym głosem powiedział:

- Jaki ten Świat jest mały! Po tylu latach znalazł się ktoś, kto zapamiętał mnie z tych jakże innych czasów.

Ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, teraz nastąpił dopiero moment serdecznego powitania. Była to dla mnie bardzo wzruszająca chwila.

W czasie obiadu w miejscowej restauracji opowiedział mi o losach całej swojej rodziny.

Kolega Janusz G. posiadał tytuł barona. Przed wojną był właścicielem poważnych dóbr ziemskich w województwie poznańskim. Wywodził się z niemieckiej rodziny. Jego pradziad na początku XIX wieku ożenił się z Polką, dziedziczką skromnego majątku ziemskiego. Majątek ten w następnych pokoleniach został poważnie rozbudowany i Janusz G. był jego ostatnim spadkobiercą. Kolega Janusz G. miał również żonę Polkę i dlatego w ich domu zawsze kultywowane były polskie tradycje. Był oficerem kawalerii polskiej i czuł się obywatelem polskim. Urodził się w 1900 roku, a studia wyższe ukończył w latach dwudziestych na Wydziale Leśnym WSR w Poznaniu.

Podczas tego pamiętnego obiadu dowiedziałem się również, że Panie, które towarzyszyły Jemu na polowaniu w 1932 roku to hrabianki znanego arystokratycznego rodu z województwa poznańskiego. Tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku wyjechały do Szwajcarii i tam pozostały. Kolega Janusz G. w czasie okupacji odmówił podpisania „Volkslisty” w związku z czym okupant odebrał Mu prawo zarządzania własnym majątkiem – był pod nadzorem policji. Mimo wielkich ograniczeń Jego wolności, pomagał Polakom pracującym w tym majątku. Po wojnie Polacy wystawili Mu jak najlepszą opinię i bronili przed atakami władz PRL – nie zdołali jednak zapobiec parcelacji majątku.

W tej sytuacji Kolega Janusz, jako inżynier leśnik, znalazł się po wojnie w służbie administracji lasów państwowych.

Pracowaliśmy w sąsiadujących ze sobą nadleśnictwach. Przez kolejne lata bywaliśmy u siebie na spotkaniach rodzinnych i darzyliśmy się dużym szacunkiem.

Moje wspomnienia nie byłyby pełne, gdybym pominął przygodę jaką przeżyłem przy okazji jednych odwiedzin u Państwa G.

Był już rok 1963.

Ja, w ostatnim czasie zmieniłem miejsce pracy i stanowisko służbowe, pozostając w tym samym okręgu lasów państwowych.

Późnym jesiennym wieczorem wracałem z inspekcji jednego z sąsiednich nadleśnictw i w drodze do domu postanowiłem odwiedzić Kolegę Janusza.

Jego osada służbowa znajdowała się w głębi lasu. Kiedy podjechałem pod bramę zauważyłem, że dom mieszkalny jest cały oświetlony i panuje tam ożywiony ruch. Wszedłem na podwórze. W tym momencie podbiegł do mnie ogromny pies i bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, nie wydając żadnego głosu, chwycił mnie mocno za rękę powyżej łokcia. Bernardyn nie pozwolił mi ruszyć się z miejsca. Wiem, że te psy są bardzo łagodne, ale w nocy, nigdy nie wiadomo co może wywołać w nich agresję. Wystarczyło, aby zacisnął swoją ogromną szczękę, a moja ręka zostałaby zmiażdżona. Bałem się krzyzczeć, a łagodne wołanie o pomoc nie przynosiło oczekiwanego skutku, gdyż w domu panował gwar. Nie pomagały też miłe słowa kierowane do psa – był bezkompromisowy.

Okazało się, że tego dnia odbyło się w tym nadleśnictwie polowanie z udziałem członków dyrekcji LP z Opoła. Uczestnicy polowania spożywali w tym czasie kolację. Nie wiem jak długo byłbym więźniem tego psa, gdyby nie gosposia Państwa G., która przypadkowo wyszła na podwórze i uwolniła mnie z paszczy tego „stróża”.

Z „duszą na ramieniu” udałem się do mieszkania, gdzie zastałem Gospodarzy i gości już w bardzo dobrych humorach. Kiedy opowiedziałem o mojej przygodzie z psem, zamiast okazać współczucie, wybuchnęli śmiechem. Okazało się, że ten pies, łagodny w ciągu dnia, zatrzymywał każdego obcego, który znalazł się w nocy na podwórzu i trzymał tak długo, póki nie zjawił się ktoś z gospodarzy. Krzywdy nie robił, ale nie pozwalał ruszyć się z miejsca.

Kieliszek domowej roboty nalewki przywrócił mi dobry humor i równowagę ducha. Byłem bardzo głodny, to też wątróbka z dzika smakowała mi wyśmienicie. Koledzy przechwalali się swoimi sukcesami z udanego polowania na dziki. Tego dnia upolowano 5 dzików, w tym jednego odyńca z medalowym orężem. Około północy, w wesołych nastrojach, pożegnaliśmy miłych Gospodarzy. Wieczór ten pozostał w mojej pamięci jako niezwykła przygoda zakończona miłym spotkaniem w gronie Kolegów myśliwych.

Ostatnie spotkanie

Rok 1965 przerwał nasze kontakty na długie lata. Kolega Janusz przeszedł na emeryturę i przeniósł się do własnego domu w pobliskim miasteczku, a mnie parę lat później, Minister Leśnictwa przeniósł w przepiękny Region Beskidzki, z zadaniem zorganizowania nowego przedsiębiorstwa. Tu pracowałem do roku 1986, tj. do czasu przejścia na emeryturę.

Tego roku wiosną Minister Leśnictwa zorganizował w Opolu spotkanie leśników i drzewiarzy z czterech województw (Katowic, Opola, Częstochowy i Bielska – Białej).

Na spotkaniu tym znaleźli się leśnicy i drzewiarze różnych pokoleń: byli tam uczniowie Szkoły Leśnej z Brynka, przedstawiciele lasów państwowych, przemysłu drzewnego, przedsiębiorstw „LAS” oraz emerytowani leśnicy. W sumie zebrało się około 600 osób.

Stałem w kolejce do szatni i rozmawiałem z Kolegą Nadleśniczym, który objął nadleśnictwo po Koledze Januszu. Jedno z pierwszych moich pytań dotyczyło losów Kolegi Janusza.

W tymże momencie usłyszałem za moimi plecami znajomy mi głos:

- Jestem tu! – panie kolego.

Odwróciłem się i zobaczyłem mojego serdecznego Przyjaciela. W dobrej kondycji fizycznej, dziarskiego jak za dawnych lat, mimo że przekroczył 86 rok życia.

Ze łzami radości nastąpiło nasze powitanie. Cały czas na spotkaniu siedzieliśmy obok siebie i z rozrzewnieniem wspominaliśmy dawne czasy, a przede wszystkim tak szybko przemijające życie.

Ten zacny Kolega Śp. Janusz G. zmarł w roku 1990, przeżywszy 90 lat.

Cześć Jego Pamięci!

Często wracam myślami do naszych spotkań, które odbywały się w jakże różnych czasach i okolicznościach, na przestrzeni 54 lat. W swoich rozważaniach dochodzę do wniosku, jak bardzo skomplikowane są losy ludzkie i jak dziwna i niezrozumiała jest natura człowieka. W mojej pamięci zamazuje się bowiem koszmar okupacji i ciężkie lata powojenne, a żywo stoi w pamięci migawka sprzed 63 lat.

Dziś będąc już w podeszłym wieku nie mogę uwierzyć, że ten czas tak szybko przeminął !

Śp. Kolegę inż. Władysława Łukowiaka,

przyjaciela łowów i domu,

wysłuchałem w Bielsku – Białej

25 sierpnia 1995 roku.

Bogusław Buźński

[1] hrabianki Platerówny z Dubina k/Jutrosina (sąsiadki Pana Gübela)

[2] Baron Janusz von Gübel, nadleśniczy Nadleśnictwa Zameczek; jego majątek ziemski znajdował się w Starym Sielcu k/Jutrosina – były powiat rawicki woj. poznańskiego

[3] mgr inż. Józef Modzelewski – dyrektor Rejonu Lasów Państwowych w Oleśnie późniejszy

dyrektor OZLP
w Opolu